

LIRA  
WYDAWNICTWO



# Morderca na plebanii

*czyli*

KLASYCZNA POWIEŚĆ  
KRYMINALNA

*o wdowie, zakonniczy  
i psie*

*(z kulinarnym podtekstem)*



KAROLINA  
MORAWIECKA



Morderca  
na  
plebanii



KAROLINA  
MORAWIECKA



# Morderca na plebanii

*czyli*

KLASYCZNA POWIEŚĆ  
KRYMINALNA

*o wdowie, zakonniczy*

*i psie*

**(z kulinarnym podtekstem)**

L I R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2019

ISBN: 978-83-66229-13-6

*Dla moich M — z miłością*





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W KTÓRYM WDOWA PO APTEKARZU  
ODCZUWA CHĘĆ MORDU, ZNICZE NIE CHCĄ  
RÓWNO PŁONAĆ, A PANI MAŁGORZATA  
ZWIERZA SIĘ ZE SWOICH LĘKÓW

W powietrzu unosił się zapach zbrodni. Morderstwa popełnionego bez najmniejszych wyrzutów sumienia. I bez wahania, choć ręka sprawczyni nie raz zadrżała. Podobnie zresztą jak jej podbródek, czy raczej kilka jego warstw, godnie spoczywających jedna pod drugą.

Pani Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu ze Skały, stała z wyraźnie widoczną w oczach chęcią mordu na środku swojej wielmożańskiej kuchni. Wokół niej, w tak sterylnym zazwyczaj pomieszczeniu (choć goście mogli się tego stanu rzeczy co najwyżej domyślać, gdyż żelazna reguła domu brzmiała, że od

towarzyskich spotkań jest salon i tylko salon) walały się szczątki — nieme świadectwo koszmaru, który rozgrywał się tutaj już od ładnych paru godzin.

Swąd spalenizny bezsprzecznie dowodził, że cała operacja przeprowadzona została bez litości. Ale też — z innym od oczekiwanego rezultatem.

Pomimo wielu lat prób oraz sześćdziesięciu pięciu wiosen na karku, wdowa po aptekarzu (Panie, świeć nad jego duszą!) nie potrafiła piec ciast. Bólu tego nie koił fakt, że znakomicie gotowała. Nie łagodziła go myśl, że żadna z jej rówieśniczek, ba!, żadna z jej sąsiadek w sztuce kulinarnej nie była równie jak ona biegła. Jedynie świadomość, iż ta mała nieumiejętność — równoważona wszak przez nader liczne zalety — pozostawała wciąż absolutną tajemnicą, pozwalała Morawieckiej stawiać czoła codziennym trudnościom.

Wręczony wczoraj, niby to w dowód uznania, przez mieszkającą obok krakuskę tort dacquoise tak mocno zirytował wdowę po aptekarzu, tak boleśnie ugodził jej dumę (i uprzedzenie), że teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko podjąć niewyartykułowane przecież wyzwanie.

Uniesiona dopiero co odniesionym spektakularnym sukcesem, to jest rozwiązaniem kryminalnej zagadki (przy minimalnym współudziale siostry Tomaszki i mikroskopijnej pomocy owej krakuski imienniczki), gdy tylko zamknęła drzwi za ostatnimi gośćmi, z którymi świętowała aresztowanie przestępcy z zamku w Pieskowe Skale, pani Karolina podjęła decyzję. Postanowiła pójść za ciosem. Udowodnić tej całej smarkuli, swojej sąsiadce (także Karolinie), że i ona

potrafi! W końcu to ona, Karolina Morawiecka, rozwiązała zagadkę śmierci Anny Bednarz! Ba! Gdyby nie jej błyskotliwy umysł i nadzwyczajne umiejętności, gimnazjalistka Kasia Pietras niewątpliwie powiększyłaby grono aniołków, a podkomisarz Cegła nie znalazłby obciążających mordercę dowodów\*! Dlatego też zdecydowała się zacisnąć zęby (wciąż własne, dzięki Bogu!), zakasać rękawy i stanąć w szranki, z nadzieją na zwycięstwo.

Niestety, nadzieje okazały się płonne.

Chociaż pani Morawiecka zrezygnowała z najmniejszej nawet improwizacji i, zaopatrzona w kilka nader dokładnych przepisów, postępowała zgodnie z klarownymi niczym masło ghee wskazówkami, już krem okazał się porażką.

Owszem, ubijana profesjonalnym mikserem śmietana była sztywna jak (nie przymierzając) świętej pamięci małżonek, ale po dodaniu do niej serka mascarpone zamieniła się w nieapetyczną breję. Sytuacja pogorszyła się jeszcze (choć trudno było w to uwierzyć), kiedy wdowa po aptekarzu wzbogaciła rzeczoną paczkę o masę kajmakową. Całość nabrała wówczas dosyć specyficznej barwy, przywodzącej na myśl (wybaczcie!) absolutnie niekulinarne skojarzenia. W ten sposób powstał krem, którego ani faktura, ani kolor nie zachęcały do spróbowania.

Wszelako przy odrobinie dobrej woli (no, może raczej przy wielkich chęciach) tę mocno przesłodzoną masę o nieco... kłopotliwej barwie ukrywającej się pod

---

\* Droga Czytelniczko! Drogi Czytelniku! Jeśli nie znasz tej historii, zapoznać się z nią możesz w *Śledztwie od kuchni*.

dźwięczną nazwą sjena palona (niech żyją wzorniki kolorów! niech żyją eufemizmy!) można by zjeść. Jednak nikt, nawet więzień kazamatów!, nawet pracownik kamieniołomów!, nie zaryzykowałby skosztowania bezy. Coś poszło nie tak (jak zwykle zresztą) i przed panią Karoliną leżały teraz cztery krążki: dwa czarne, niemal spalone na węgiel, i dwa białe, choć podejrzanie gładkie i już na pierwszy rzut oka przypominające gips. Te ostatnie na moment wzbudziły nadzieję, że oto udało się odnieść sukces — była to jednak chwila krótka i ulotna. Wystarczyło, że podekscytowana wdowa delikatnie postukała w bezowy krążek: dziwnemu głuchemu dźwiękowi towarzyszył krótki okrzyk bólu, a na palcu wskazującym pani Morawieckiej pojawił się fioletowo-czerwony krwiak.

Rozgoryczenie kobiety potęgował fakt, że nawet Trufla, wiecznie głodna dożyca de Bordeaux, jak zwykle towarzysząca swej pani z nadzieją na łakomy kąsek, tym razem nie wyraziła większego zainteresowania efektem pięciogodzinnych prac cukierniczych. Owszem, początkowo suka śliniła się obficie, dając tym samym dowód, że unoszące się w pomieszczeniu zapachy przyjemnie pobudzają jej kubki smakowe i wprawiają w ruch ślinianki. Po włożeniu bezy do piekarnika psica pilnowała tejeż przez niemal godzinę, jakby w obawie, że ciasto postanowi samodzielnie opuścić rozgrzane do zaledwie stu czterdziestu stopni urządzenie. Lecz kiedy wdowa po aptekarzu, drżąc z emocji i wielkich nadziei, wyciągnęła efekt swych starań, Trufla tylko nieufnie powąchała ciasto i z głuchym warkotem odsunęła się w kąt.

I tak już trzykrotnie\*. Tyle bowiem prób podjęła pani Karolina tego wieczoru, pierwszego listopada.

Teraz, zrezygnowana, postanowiła wreszcie uchylić okno i wywietrzyć śmierdzącą kuchnię. W głębi duszy liczyła na to, że o tak późnej porze nikt już nie będzie przechodził Podzamczem i nie wyczuje spalenizny. A jeśli nawet, to nie połączy kompromitującego zapachu z kuchennymi oknami wdowy po aptekarzu — zresztą na czas eksperymentu szczelnie zasłoniętymi grubymi storami — tylko, dajmy na to, z dymem z kominika (sezon grzewczy właśnie się rozpoczął). Albo ze smogiem, po prostu.

O, jakże bolesne są rozczarowania! Jak bolesna jest świadomość poniesionej klęski! Jak nieznośna gorycz porażki! Lecz (o, cudowna różnorodności!) nie każdy ma naturę Wertera, nie każdy charakter Hamleta! I jak na świecie są dzieci Obłomowa, tak są i dzieci Judyma. A Karolina Morawiecka, choć całkiem nieświadoma istnienia doktora Tomasza, niewątpliwie zaliczała się do grona tych drugich. Teraz więc, idąc śladem wybitnych postaci: Johna Watsona, kapitana Hastingsa oraz swojej ulubionej, choć znanej tylko z wersji filmowej, Scarlett O'Hary — wdowa po aptekarzu pozbierała się w oka mgnieniu.

— To nie był dobry dzień — wyszeptwała zdruzgotana własną klęską ni to do siebie, ni to do Truflii. — Ale

---

\* Zapewne zastanawiasz się teraz, jak to możliwe, że po trzech próbach upieczenia tortu dacquoise przed wdową po aptekarzu leżą zaledwie cztery bezowe krążki, podczas gdy piekła po dwie na jednej blasze. To bardzo proste, Drogi Czytelniku!, Droga Czytelniczko! Pierwsza próba była tak dalece nieudana, że nasza bohaterka cichutko, zraszając efekt swych starań kilkoma zaledwie łzami, wyrzuciła ciasto do kosza. Bo choć emocje targwały jej sercem, umysł pani Karoliny wciąż działał jak brzytwa i nie pozostawiał złudzeń: węgiel to kamień i nie ma sensu go kompostować.

niech jeszcze i to, niech jeszcze i to... *Zresztą* — pocieszyła się, a myśl ta czule pieściła jej umysł i sprawiła, że na szerokim obliczu Karoliny Morawieckiej zawitał pierwszy tego dnia uśmiech — *to pewnie część Bożego planu. Żebym mogła zrozumieć tych, którym nie wszystko w życiu wychodzi...*

Ożywiona tą refleksją wdowa po aptekarzu, zbyt zmęczona, aby przyrzadzić sobie kolację, postanowiła posilić się niezobowiązującą paczką ciastek. Albo nawet dwiema, gdyż jak powszechnie wiadomo, wysiłek wymaga uzupełnienia kalorii, a nikt przecież nie wątpi, że wykonanie jednego po drugim trzech tortów dacquoise (nawet zupełnie nieudanych) wiąże się ze znacznym wysiłkiem. A tego dnia przecież robiła o wiele, wiele więcej...

Jak co roku od pięciu lat, czyli od momentu, kiedy małżonek, raptem kilka miesięcy po przeprowadzce z podkrakowskiej Skąły do pobliskiej Wielmoży, zniebaczka przeniósł się na łono Abrahama, zostawiając pogrążoną w rozpacz współmałżonkę w niedawno zakupionym domku na wsi (na szczęście słone lzy wdowy równoważyła słodka masa spadkowa w postaci bardzo przyjemnej sumki ze sprzedanej apteki w Skale), pierwszego listopada pani Karolina rozpoczynała wyjątkową aktywnością. Wiadomo — groby.

Ponieważ konkurencja nie śpi, a nikt (nawet najsroższy pies) nie jest tak czujny, jak czujna jest sąsiadka, już po dwóch latach od śmierci męża Karolinie Morawieckiej udało się opracować genialną w swej prostocie strategię. Oczywiście, tak jak inni, wyposażona w odpowiedni zestaw ściereczek, miotełek oraz preparatów

czyszczących i nabłyszczających odwiedzała cmentarz pod koniec października, żeby doczyścić i tak zawsze lśniący pomnik anioła odpowiedniej wielkości, ułożyć równo znicze i przyozdobić nagrobek stylową wiązańką chryzantem. Ale kiedy wybijała „godzina zero”, we Wszystkich Świętych zjawiała się na cmentarzu na długo przed wschodem słońca. O tej porze jest on, oczywiście, zamknięty, ale przecież nie na kłódkę! Wystarczyło nacisnąć ozdobną klamkę, by znaleźć się wśród grobowców, na których tylko gdzieś tam pałły się znicze.

Tak też było dzisiaj. Kilka minut po piątej rano mocno zaspana pani Karolina przekroczyła bramę skalskiego cmentarza. Nie bała się ciemności, bo latarnie oświetlające drogę do Krakowa dawały wystarczająco dużo światła, by swobodnie i bez narażania się na nieprzyjemności w rodzaju upadku i stłuczenia kolana (o skręceniu kostki nie wspominając) przemieścić się wzdłuż wąskich alejek.

Inna sprawa, że tę drogę mogłaby pokonać i z zawiązanymi oczami. Zresztą zadbała o to, by Stanisław (niech spoczywa w pokoju!) leżał w odpowiedniej kwaterze, raptem kilkanaście merów od bramy wejściowej. Wystarczająco blisko, żeby się nie namęczyć, ale nie na obrzeżach, gdzie trudno jest kogoś spotkać i uciąć sobie odpowiednią do sytuacji pogawędkę. No i w zasadzie każdy musi przejść obok. I zauważyć pomnik jednoznacznie wskazujący, że w tym oto miejscu spoczywa postać wyjątkowa. A może nawet — wybitna. Liczący sobie metr sześćdziesiąt anioł mógł się co prawda, zwłaszcza w ciemnościach, wydawać nieco upiorny, ale

stanowił doskonały punkt orientacyjny. I na wszystkich bez wyjątku robił wrażenie.

Poświęciwszy sobie małą latarką, wdowa po aptekarzu z dumą skonstatowała, że znowu odniosła niewątpliwy sukces. Czyszczony od trzech dni nagrobek błyszczał, lśnił, a nawet roztaczał przyjemną dla nosa woń środków chemicznych. Chryzantemy, postawione tu wczoraj, nie przemarzły mimo pierwszych tej jesieni przymrozków, a kokarda z fioletowej wstążki nie oklapła ani nie straciła misternego kształtu. Kilka rudych liści, które zdążyły opaść na płytę tej nocy, udało się szybciotko zebrać, nie niszcząc przy tym kompozycji z kwiatów i trzech zniczy. Teraz więc pani Karolina wyciągnęła z przepastnej torby kolejne trzy i ustawiła je *vis à vis* wyższego od niej o kilka centymetrów anioła. Będą równo płonąć, kiedy za kilka godzin, tak około jedenastej, wraz z wiernymi udającymi się na cmentarz po mszy, wdowa po aptekarzu przyjdzie odwiedzić grób małżonka. I kiedy inni będą dopiero układać wiązanki, dopiero zapalać znicze i zbierać liście hojnie spadające z pobliskich drzew, a niektórzy wręcz (profani!) dopiero omiatać z pajęczyn i czyścić nagrobki — ona w zadumie dołoży kolejne trzy świece i w spokoju pogrzeży się w modlitwie za duszę Stanisława. Oraz porównywaniu poszczególnych grobów. Nikt nie będzie mógł jej zarzucić minimalnego nawet zaniedbania. A na pewno znajdzie się taki, co założy, że skoro poświęcała czas na śledztwo i kryminalne zagadki, na odwiedzenie cmentarza przed świętem nie znajdzie czasu. Niedoczekanie!

Tymczasem, pomimo tak starannych planów, nic w tym dniu nie miało się odbyć zgodnie z przewidywaniami.



Owszem, kiedy pani Karolina ponownie znalazła się na cmentarzu i, tym razem w świetle dnia, zapalała kolejne trzy znicze za świętej pamięci Stanisława, grób małżonka znakomicie się prezentował. Jednak, co wyraźnie podniosło jej ciśnienie i przyprawiło o palpitacje, zapalane w porannych ciemnościach znicze nie płonęły! Coś musiało być nie tak z knotem, bo we wszystkich trzech był już w zasadzie niewidoczny, utopiony w warstwie żółtego wosku. Próby wydobycia go spęzły na niczym i choć pani Karolina z zaciekłością godną ważniejszej sprawy dłubała w nich zapałką, żłobiąc w wosku dziury niczym hrabia Monte Christo w kamiennych murach twierdzy d’If, nie udało się ich ponownie zapalić.

Na szczęście zdawało się, że nikt z przechodzących obok na to nie zważał. Ale też, choć przecież po to był cały ten wysiłek, cały ten poranny trud, nikt nie rzucał ukradkowych spojrzeń, nie kiwał głową z podziwem, nie obracał się w zdumieniu. Co gorsza — nikt, ale to nikt nie zagadał do wdowy po aptekarzu! Owszem, dawni sąsiedzi ze Skały witali się, uprzejmie uśmiechali, ale nie rozpoczynali zwyczajowej pogawędki. Tymczasem, oprócz corocznych rozmów o pogodzie, o tym, że takie jest życie i wszyscy się tam kiedyś spotkamy, pani Karolina oczekiwała gratulacji i pochwał. Nawiązania do wczorajszego spotkania w salce parafialnej. Lub, w ostateczności, samego tylko napomknienia, że trudno uwierzyć w całą tę sprawę śmierci Anny Bednarz.

Głęboko rozczarowana i srodze zraniona ludzką obojętnością, Karolina Morawiecka zdecydowała się na krok ostateczny. Cóż, Stanisław się przecież nie pogniewa,

zwłaszcza że sytuacja tego wymaga, a osiem lampek też dobrze wygląda. Wzięła jeden z felernych zniczy do ręki i ruszyła na sam środek cmentarza, w stronę grobu kelnerki z Herbowej. Była pewna, że będzie otoczony tłumem ciekawskich, którzy oprócz zapalenia świecy za zmarłą równie mocno zechcą skomentować niedawne morderstwo na zamku w Pieskowej Skale. Intuicja jej nie myliła (jak zwykle zresztą), bo rzeczywiście wokół świeżej mogiły stało już z kilkadziesiąt osób.

— Dzień dobry, pani Karolinko — rozległo się wokół, a zgromadzeni jak na komendę przybrali smutny wyraz twarzy. — Taka straszna tragedia...

— Jak dobrze, pani Karolinko, że pani znalazła mordercę. Teraz już jej duszyczka może spoczywać w pokoju...

*No nie wiem, nie wiem* — pomyślała wdowa, która na temat Bednarzówny miała wyrobioną opinię. Ale, oczywiście, nie wyraziła jej na głos, bo przecież nie wypada źle mówić o zmarłych. Zamiast tego więc rzuciła odpowiednio zbolalym głosem, w którym przebrzmiewały refleksja, że ludzkie życie jest krótkie, a zarazem skromność i godność:

— Na wieki wieków, amen. Taka widać była wola Pańska...

— Ale co to się wyrabia na tym świecie! Żeby tu u nas mordować!

— Nie u nas, nie u nas — mitygowała pani w futrze, pracująca w urzędzie w Skale i reprezentująca w tej chwili nie tylko państwową instytucję, ale i wszystkich mieszkańców miasteczka, ba!, całej gminy! — W końcu zabójstwo miało miejsce w Pieskowej Skale.

O, w jakże nieodpowiednią stronę zmierzała ta rozmowa! Jak zły obrót przybrały nagle sprawy! Wdowa po aptekarzu gwałtownie poczerwieniała, a na szyi wykwitły jej plamy, na szczęście niewidoczne gołym okiem, gdyż skryte pod warstwami jedwabnej apaszki, kupionej jeszcze przez Stanisława (tania nie była). Spojrzała mrozącym krew wzrokiem na przeciwniczkę, ale ta, o dziwo, nie zamierzała wcale się poddawać. Wręcz przeciwnie! Świadoma poruszenia, jakie wywołała, urzędniczka parła dalej niczym rozpędzona kolejka górską. Albo zawodnik sumo świadomy zbliżającego się zwycięstwa.

— Czy pani się, pani Karolinko — szarżowała jak gdyby nigdy nic, a w jej głosie źle udawana troska ani na moment nie maskowała głębokiej satysfakcji — nie boi tak mieszkać obok... — tu zawiesiła głos, by słowa, które zaraz miały paść, mogły wybrzmieć z pełną mocą — ...mordercy?

Obie wojowniczkę wagi ciężkiej (przy czym jednej objętości dodawało futro z norek, a drugiej puchowa kurtka) patrzyły na siebie świdrującym wzrokiem. Zebrani wokół mogiły Anny Bednarz wstrzymali oddech. Pojedynek Megajry i Tyzyfone nie mógłby wyglądać groźniej! Dzieci Eris — Mache, Androktasiai i Neikea — nie mogły być straszniejsze! Szala zwycięstwa przechylała się na stronę urzędniczki, ale dopóki walka trwa, dopóty jest szansa na wygraną. A przynajmniej na remis.

Karolina Morawiecka westchnęła pełną piersią, aż szywy na epickim biuście (do tej pory lekko tylko nadwyrężone) zatrzęszczały złowieszczu, a na przesytych

pojawiły się białe fragmenty puchu i pierza, stanowiące wypełnienie zimowej kurtki. Spojrzała w niebo, szukając tam świadków, a może wprost przywołując Miłosierdzie Pańskie, po czym zwróciła się ni to w stronę mogiły Bednarzówny, ni to do zebranych.

— Jak ktoś żyje uczciwie, to się nie ludzi, a tylko Boga boi — zaczęła głosem opanowanym i cichym, dającym świadectwo wielkiej wiary i równie wielkiej uczciwości. — Więc nie, droga pani, ja się mordercy ani przez chwilę nie bałam. I chociaż mieszkam teraz w Wielmoży, gdzie wydarzyło się morderstwo, to przecież wszyscy dobrze wiemy, dlaczego do tej zbrodni doszło. — Tu pani Karolina zawiesiła na chwilę głos i spojrzała rozmówczyni w oczy na znak, że kto jak kto, ale wdowa po aptekarzu nikogo się nie boi, a już na pewno nie urzędniczki w futrze, które przy kołnierzu jakby lekko linieje. I w ogóle jest już niemodne. — Zło przyszło do nas, do mojej wsi! — westchnęła, a zebrani usłyszeli w jej słowach gorzką refleksję, że nigdzie już nie jest bezpiecznie na tym świecie. — Ale przecież — pani Karolina spuściła skromnie oczy, a dłonie położyła w okolicach serca na znak absolutnej czystości myśli i duszy — nie będę o zmarłych źle mówić. Bo ja, w przeciwieństwie do niektórych — wciąż patrzyła w dół, lecz jej głos narastał i potężniał; oto nadchodził wielki finał!, nadchodziło zwycięstwo! — nigdy pierwsza nie rzucę kamieniem. W nikogo.

Morawiecka podniosła wreszcie wzrok. I jak gdyby nigdy nic, jak gdyby Tyzyfone właśnie nie pokonała Megajry!, jak gdyby w powietrzu wciąż jeszcze nie unosił się kurz po tej straszliwej bitwie!, ruszyła w stronę

nagrobka świętej pamięci Anny Bednarz, kelnerki z Herbovej. Zebrani rozsuwali się na boki, z szacunkiem i podziwem doceniając maestrię tego posunięcia. I wypowiedzianych przed chwilą słów.

Wdowa po aptekarzu wyciągnęła z torby znicz i rzuciła na koniec, ot tak, w przestworza (choć na tyle głośno, żeby każdy z grupy kilkudziesięciu osób na pewno wszystko usłyszał):

— Już dobry Pan wie, jak duszę ludzką osądzić. A dobry katolik w takiej chwili tylko modli się i ofiarowuje odpusty. I znicz zapala.

Wyciągnęła zapalki i... nic! Felerna świeczka nie chciała zapłonąć! Po drugiej próbie do pani Karoliny podszedł były sąsiad i poratował ją zapalniczką. Znowu daremnie! Knot ginął w wosku! W tej sytuacji wdowa po aptekarzu rozpoczęła nerwowa dłubaninę, boleśnie świadoma, że cały efekt, osiągnięty z takim wysiłkiem, właśnie bezpowrotnie przepadł.

— Pani Karolinko kochana, może dłuższa zapalka coś zdziała? Ja zawsze takie noszę... Najlepsze są! — zaoferowała Ada Rażny, która najwyraźniej była obecna przez cały ten czas, choć Morawiecka nie dostrzegła wcześniej swej dawnej sąsiadki.

— Gdzie pani, pani Karolinko, kupiła ten znicz? Może się jeszcze uda wymienić? — zainteresował się ktoś.

— Teraz to wszystko na psy schodzi. Nawet znicze to zwykły szajs. — Zmarznięty siedemdziesięciolatek w skórzanej kurtce, z czerwonym nosem, splunął przed siebie i zapalił papierosa. — Za komuny to jednak było lepiej...

— Panie, coś pan?! — podniosły się pełne oburzenia głosy.

— Komuszy syn! — ktoś rzucił niby to szeptem, na tyle jednak wyraźnie, by wszyscy usłyszeli.

Atmosfera zmieniła się diametralnie. Chwila tryumfu bezpowrotnie minęła.

W końcu pani Karolinie nie zostało nic innego, jak postawić niezapalony znicz obok innych, płonących równym płomieniem lampek, poprawić kapelutek z an-gory w kolorze lilaróż (ozdobiony figlarnym kwiatuszkiem z perełką i z fikuśnie wywiniętym rondem), po czym oddalić się z godnością. I to w miarę szybko.

A kiedy tak szła w stronę kościelnego parkingu, na którym przezornie zostawiła swój samochód, bo dobrze wiedziała, że ten pod cmentarzem będzie doszczętnie zapchany i około jedenastej nawet rower ani hulajnoga się tam nie zmieszczą, oddała się wspomnieniom.

Dawniej, kiedy jeszcze żył Stanisław, tak przyjemnie spędzali to święto. Pani Karolina — jak każda Polka świadoma praw (i obowiązków) wynikających z przynależności do, w co mocno wierzyła i lubiła podkreślać, elitarnej grupy społecznej, ale także z zapałem pełniąca funkcję prawowitej ozdoby swego małżonka — zawsze pierwszego listopada zakładała odświętne furto z jenota (kupione przez Stanisława na dwudziestą piątą rocznicę ślubu, czyli dawno, dawno temu) i jechała razem z mężem na cmentarz Rakowicki do Krakowa. Tam przechadzali się wśród tłumów — krokiem statecznym, powolnym i odpowiednim do sytuacji — odwiedzając najbardziej popularne groby wybitnych Polaków. Przede wszystkim zaś ulubionego malarza Karoliny Morawieckiej — Jana Matejki (przy czym pani Karolina zawsze starała się mieć taki wyraz twarzy, jakby właśnie odwiedzała mogiłę ukochanego wujaszka).

Jednak wraz ze śmiercią Stanisława te wspaniałe wycieczki stały się częścią bezpowrotnie minionej przeszłości. Podobnie jak futro, które w zaledwie dwa sezony zupełnie zdefasonowały uodpornione na zapach lawendy mole...

Na samo wspomnienie wyżartych w rękawach dziur w oczach pani Karoliny zalśniły łzy, a z piersi wyrwało się pełne rozpaczyste westchnienie.

— Szczęść Boże, pani Karolino — usłyszała znieknacka. I zamarła. Na parkingu przed kościołem stała wysoka, chuda jak szczapa zakonnica, która teraz z uśmiechem zbliżała się do niej. — Czy może raczej powinnam już mówić: panno Marple? Spodziewam się, że po wczorajszym spotkaniu trudno dzisiaj było przejść pani spokojnie przez cmentarz. Pewnie niektórzy nawet o autografy prosili? — zażartowała.

Siostra Tomasza spodziewała się teraz całego teatryku. Jednego po drugim wszystkich środków z niemałego przecież arsenału wdowy po aptekarzu, które w czasie ostatnich miesięcy zdążyła tak dobrze poznać: skromnego spojrzenia w dół, wyraźnego skinienia głową i składanych donośnym półszepcetem wyjaśnień, że pani Karoliny taki stan rzeczy wcale a wcale nie cieszy, bo wszak nie o popularność, a o walkę ze Złem jej chodziło, no ale każdy dźwigać musi swój krzyż, a jej powołaniem najwyraźniej była sława, sława, sława\*! Jednak nic takiego nie nastąpiło. Brak odpowiedzi sprawił, że zakonnica

---

\* Skojarzenia siostry Tomaszy były w tym momencie jednoznaczne. Jednak, mimo intensywnych usiłowań, dopasowanie nasuwającej się liczby czterdzieści i cztery do wdowy po aptekarzu jakoś jej nie wychodziło. Pani Karolina miała przecież sześćdziesiąt pięć lat, zastanawiająco niewielki rozmiar buta, odzieży zaś – zdecydowanie większy.

przyjrzała się wdowie uważnie: może i milczenie jest złotem, ale Karolina Morawiecka ewidentnie gustowała w srebrze. Na zaczerwienionym, zażywnym obliczu koleżanki dostrzegła ślady niedawnych łez.

— Och, pani Karolinko — zdumiała się siostra Tomaszka. — Czy wszystko w porządku? Czy mogę jakoś pomóc?

— Szczęść Boże, siostrzyczko — odpowiedziała pełnym cierpienia głosem wdowa po aptekarzu, która może i w pierwszej chwili wpadła w panikę, ale lata doświadczenia pozwoliły jej w sekundę wziąć się w garść. — Wie siostra, jak to przy tym święcie... Tak sobie wspominam... — rzuciła enigmatycznie.

— Pani Karolinko. — Chuda zakonnica była wyraźnie zdziwiona obrotem spraw i zażenowana własnym brakiem wrażliwości. — To rzeczywiście musi być trudne. Tyle lat razem... Ale to przecież radosne święto, pokazujące nam, żywym, wieczną perspektywę...

— Siostra mnie tego uczyć nie musi — zirytowała się Morawiecka i zdecydowała się przybrać inną strategię. — Ja to wszystko dobrze wiem. I nawet nie za Stanisławem tęsknię — wyznała niewygodną prawdę, by chociaż trochę uratować swój wizerunek osoby wiernej i pobożnej — bo przecież odpoczywa w pokoju i pewnie już z Panem Bogiem jest w niebie. Ale ja — dramatycznie westchnęła i świadomie uderzyła w płaczący ton, który w większości przypadków zamykał usta rozmówcom, a jej przynosił ciche zwycięstwo — sama teraz jestem na świecie. Bez mężczyzny u boku kobiecie zawsze trudno... Do Krakowa sama przecież nie pojadę, a zawsze razem wybieraliśmy się na grób mojego drogiego Matejki...



Ten rozpaczliwy argument, przywoływany przez wdowę po aptekarzu głosem zranionej łani i z odpowiednim, dla podkreślenia dramatyzmu, gestem załamania rąk, tym razem nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. Przez kilkanaście sekund pani Karolina zastanawiała się, dlaczego na twarzy zakonnicy zamiast pełnego ubolewania zrozumienia pojawiły się groźne zmarszczki świadczące o nadchodzącym wybuchu. Dlaczego jej oczy zalsniły niepokojąco, a i tak długi już nos jeszcze się wydłużył. Wreszcie, niczym grom z jasnego nieba, Karolina Morawiecka uświadomiła sobie, jak fatalną obrała taktykę! Siostra Tomasza to nie był zły człowiek, no ale... feministka!

I teraz właśnie, wzburzona do granic, nie zważając na to, że znajdują się przecież w miejscu publicznym, że ktoś tu w ulicę Kościelną może się zapuścić, co więcej: może usłyszeć te niepokojące i wyraźnie sprzeczne z tradycją słowa, przedstawicielka stanu zakonnego rozpoczęła żarliwą przemowę.

— Pani Karolino! Czas już skończyć z tym patriarchatem! Czas najwyższy! Ja oczywiście rozumiem miłość do mężczyzny. Jak pani wie, do klasztoru poszłam już po studiach, po pierwszych związkach — wtrąciła i pociągnęła zdanie dalej, na jednym wdechu — i tęsknotę za nim też rozumiem. I strach przed samotnością. Ale nie można tych spraw łączyć! Nie można utożsamiać uczucia do partnera z przekonaniem, że o wartości kobiety decyduje jedynie obrączka na palcu! — Tu jednak wzięła oddech, choć pauza nie zdążyła wybrzmieć i kontynuowała z szybkością torpedy: — Czy za pełnowartościowego mężczyznę uważa się tylko

człowieka żonatego? Oczywiście, że nie! Dlaczego więc same sobie odbieramy to prawo? Dlaczego same skazujemy się na taką udrękę? Skąd przekonanie, że kobieta bez mężczyzny nic nie znaczy? Że nie jest w stanie nic bez niego zrobić? Że nawet sama do kina nie pójdzie? Do miasta sama nie pojedzie?

Tu oprzytomniała na moment, bo wdowa po aptekarzu, na przemian blada i czerwona na twarzy, ścisnęła ją za łokieć i zaczęła prowadzić w stronę drzwi plebanii. Czego jak czego, ale najbardziej na świecie Karolina Morawiecka bała się scen na ulicy. W biały dzień. Przy ludziach.

— Pani Karolinko, właśnie rozwiązałyśmy sprawę tajemniczej śmierci Anny Bednarz, w zasadzie bez pomocy podkomisarza Cegły, a pani wciąż nie docenia siły, która w nas, kobietach, tkwi — ciągnęła siostra Tomaszka już spokojniej. — I proszę nie zapominać, że choć pan Stanisław nie żyje...

— Świeć, Panie, nad jego duszą! — Wdowa wreszcie odważyła się coś wtrącić.

— ...to nie jest pani sama. Ma pani przyjaciół. Choćby mnie.

Takiej deklaracji nie spodziewał się nikt. Ani pani Karolina, ani tym bardziej wypowiadająca te słowa. A jednak padły i ewidentnie trafiły na przyjazny grunt.

Karolina Morawiecka, nie tylko po to, by uciszyć wreszcie zakonniczkę, ale i w przypływie serdecznych uczuć, objęła siostrę Tomaszę.

Z zewnątrz musiało to wyglądać co najmniej intrygująco: dwie czarno ubrane (choć u jednej czerń ożywiały różowawy kapelusik i kolorystycznie z nim

zgrana apaszka, a także krótko ścięte włosy w nieco tylko ciemniejszym odcieniu, u drugiej zaś — biały otok kornetu) humanoidalne postacie złączone w mocnym uścisku przywodziły na myśl rzeźbę w karbonie. Wysoka i chuda istota zdawała się ginąć w żelaznym uścisku bliżej nieokreślonej masy, która na szerokość mierzyła ponad sto centymetrów i niewiele więcej miała wysokości. Jakąż nazwę mogła mieć ta żywa instalacja? *Walka między Duszą a Ciałem? Śmierć gladiatora? Ostatnie starcie?*

Tę oto scenę zobaczyła z kuchennego okna plebanii pani Małgorzata, gospodyni proboszcza Walerego. Niewiasta nie poświęciła jednak ani chwili na rozważania przystające do tego niecodziennego widoku, lecz co prędzej wychyliła się przez parapet i zawołała:

— Szczęść Boże! Łaska Pańska, że panią widzę, pani Karolinko! Czy mogłaby pani do nas na chwilę zajrzeć? Porozmawiać? Na kawę zapraszam! Albo i na obiad!

Zakonnica poczuła, jak wciąż obejmująca ją Morawiecka sztywnieje i traci dech. Żeby nie doprowadzić do niebezpiecznej dla życia koleżanki sytuacji, szybko ją uspokoiła.

— Spokojnie! — Mrugnęła i dodała szeptem, żeby ani jedno słowo nie doszło do ucha pani Małgorzaty: — Jest jeszcze ta pyszna herbata od pani... A poza tym ostatnio kawę też mamy dobrą, Kenya AA. Z obiadu to się pani świętem jakoś wykręci. Chociaż dzisiaj — dodała, a oczy jej się śmiały — z racji Wszystkich Świętych do kaszy pewnie będzie cebulka...

Rzeczywiście, to mógł być początek pięknej przyjaźni.

— Wie pani, pani Karolinko — zaczęła pani Małgorzata, kiedy we trójkę siedziały już wokół kuchennego stołu, a przed każdą z nich stał kubek parującej przyjemnie kawy. — Już wczoraj po spotkaniu w salce katechetycznej chciałam do pani podejść, ale jakoś zabrakło mi odwagi...

— Ależ proszę się nie obawiać, na pewno pomogę.

Karolina Morawiecka, zaintrygowana wstępem księżowskiej gospodyni, w zasadzie nie miała wątpliwości co do intencji tego spotkania. Pewnie chodzi o jakiś przepis na tanie a wyrafinowane posiłki. Albo wręcz o krótki kurs gotowania. Oby tylko nie o recepturę na ciasto, no ale przecież w ostateczności przepis może podać. I to niejeden...

Chociaż więc nie do końca wiedziała, do czego jest potrzebna pani Małgorzacie, na wszelki wypadek postanowiła udzielić jej dobrej rady. Karolina Morawiecka zdawała sobie bowiem sprawę, że niewiele rzeczy może tak poprawić humor, jak podzielenie się naszą mądrością z drugą osobą — nawet jeśli ta o rady nie prosi. Albo zwłaszcza wtedy... Wdowa po aptekarzu uśmiechnęła się więc z wyrozumiałością, poklepała przyjacielsko spracowaną rękę staruszki i od serca jej poradziła. A myśl ta była dla niej samej nadspodziewanie genialna. Natchnienie zrodziło się z wizji ciast stojących obok siebie na pięknie udekorowanym stole.

— Według mnie najlepszym rozwiązaniem byłby konkurs.

W kuchni zapadła cisza. Cisza tyleż potężna, co niezręczna. W takiej ciszy nie tylko usłyszeć można było

ciągnące żurawie, których by nie dościgły źrenice sokoła! Nie tylko motyla kołyszącego się w trawie! Nie tylko węża śliską piersią dotykającego ziół! Ale nawet głos z Litwy (niestety, nikt nie wołał).

I pani Małgorzacie, i siostrze Tomaszcy zdziwienie zaparło dech. Konkurs? Co za konkurs? Na szczęście w chwili, gdy pewna siebie Karolina Morawiecka udzielała tonem łaskawej królowej niespodziewanej rady, żadna ze słuchających jej kobiet nic nie piła. Obyło się bez nieszczęśliwego wypadku. Nikt się nie zachłysnął. Nikt nie rozkaszał.

— Konkurs? — Osłupiała zakonnica, na wszelki wypadek powierzwszy panią Karolinę Świętej Dymfnie, Świętej Bibianie, Świętemu Kwintynowi oraz Świętemu Walentemu, to jest patronom osób cierpiących na dolegliwości nerwowe, wydusiła wreszcie z siebie pytanie, które narzucało się samo: — Jaki konkurs?

— Konkurs? — jednocześnie na głos zdziwiła się pani Małgorzata (gdy po krótkiej chwili udało jej się wreszcie odzyskać mowę). — Co za konkurs?

Niczym niezrażona, bo wiadomo, nie każdy i nie zawsze w mig zrozumie myśl osoby wybitnej, Karolina Morawiecka cierpliwie zaczęła tłumaczyć.

— Konkurs na ciasto. Jak się go odpowiednio reklamuje, to każda z kobiet, nie tylko ze Skały, ale pewnie z całej okolicy!, będzie w nim chciała wziąć udział. Panie — skinęła głową w stronę wciąż niczego nierozumiejących słuchaczek — i pewnie też wikary Szymonek, bo o proboszczu to jednak trzeba zapomnieć, będą w jury i wybiorą najpyszniejsze. A to, co zostanie z degustacji, można sprzedać... Albo rozdać

biednym... To powinno przekonać księdza Walerego. Z nagrodą też nie będzie problemu: można mszę albo jakieś nabożeństwo w intencji wygranego odprawić. W ostateczności zwycięzcę zaprosi się na herbatkę na plebanię...

— Prędzej zwyciężczynię — wyrwało się automatycznie siostrze Tomaszy, która, choć wciąż nie rozumiała, o czym mówi pani Karolina, oczyma wyobraźni widziała już stoły pełne tortów, drożdżowego i babeczek. A widok ten podobał jej się bardzo.

— Panienko Najdroższa! — rozentuzjasmowana pani Małgorzata zaapelowała do wyższej instancji. — Przecież jeszcze teraz, przed Bożym Narodzeniem można taki konkurs zrobić. O Święta Wiborado! Pani Karolinka to rzeczywiście niegłupia jest! Ale — tu dodała niejako zawstydzona, że musi zmienić temat — mnie się tak po prawdzie to o co innego rozchodziło... Bo ja do obu pań mam sprawę. Chciałam se najprzód z samą tylko siostrą Tomaszą porozmawiać, bo przecież wszyscy tu na plebanii wiemy, że za zapędy detektywki tu do nas, do Skały, została z Krakowa przeniesiona... — Wystraszyła się na moment, czy nie posunęła się zbyt daleko w szczerości, ale uśmiech zakonnicy ją uspokoił. — Ale jak pani Karolinka tego całego zbrodniarza chwyciła, to i o pani se pomyślałam. To sprawa w sam raz dla was.

— Więc śmiało, pani Małgorzato! — zachęciła gospodynię zakonnica, mocno tym wstępem zaciekawiona.

— Ależ słucham, słucham! — zapewniła zaintrygowana wdowa po aptekarzu.

Ośmielana na dwa głosy kobieta nie dała się dłużej prosić. Dla kurażu wypła potężny łyk kawy, otarła usta brzegiem kuchennego fartucha i wyrzuciła z siebie to, co od kilku dni tak mocno ją uwierało.

— A bo to się rozchodzi o moją przyjaciółkę Martę Dobrowolską. Ona z Wielmoży jest, ale z Kamieńca, więc pani jej pewnie nie zna. I siostra tyż raczej nie. Onegdaj była u mnie, taka jakaś blada, poty ją oblewały, nawet nic pić nie chciała... Wyznała mi, że na rozmowę do proboszcza Walerego iść musi, bo już chyba na nią czas przychodzi. Bo — dorzuciła od siebie tonem wyjaśnienia — Marta jest starsza ode mnie z osiem roków, już po osiemdziesiątce, to i jej myśleć o śmierci przystoi. No i potem jak się o drzwi zapała, to powiedziała mi, że ona — tu gospodyni zrobiła znak krzyża i drżącym głosem skończyła — z cudzą zbrodnią do grobu iść nie chce.